

Świątek Młodzieży

Tygodnik dla młodzieży Pomorskiej. ♦ Wychodzi co niedzielę.

Bezpłatny dodatek do „Głosu Pomorskiego“.

Wieczór w lesie.

Cichy las, cichy las,
W ten jesienny miły czas!
Jasny księżyc niebem płynie
Wiewióreczka na drzewinie
Siedzi sobie, duma sobie,
W górę trzyma łapki obie,
A nie widzi nas!

Cichy bór, cichy bór!
Już umilknął ptasząt chór,
Już sarenka drzemie mała,
Już i trawka zadrzemiała,
Dąb staruszek lasu strzeże,
Strumyk szepce swe pacierze,
Płynąc kędyś z gór.

Żebraczka.

Po wiejskiej, piaszczystej kamieniami i wybojami pokrytej drodze, idzie siwa, stara babulka. Zmęczona jest i zakurzona, pot grubymi kroplami spływa po jej pomarszczonych policzkach. Opiera się silnie na zakrzywionej lasce, przez plecy przerzuciła sakwy żebracze.

Słońce dogrzewa silnie, choć to jeszcze wiosna i babulka iść wcale nie może. Usiadła pod krzywą wierzbą i patrzy na pasące się krowy dróżnika, leniwie poruszające wargami, a duże ich wymiona zapowiadają obfite mleko.

Babulce pić się chce strasznie. Mleko... — myśli, — są ludzie, co mają mleko. Jacy szczęśliwi!

Małgosia i Antek pilnują krów rodzicielskich i gawędzą. Antek wykręca fujareczką, a Małgosia zbiera rozechodnik na wianuszki. Zobaczyli starowinę.

— Babal baba! — krzyczy przestraszona Małgosia. Antek leniwe podnosi głowę.

— To i cóż? Baba. Mało to łązi po drogach tych darmożjadów!

Aż lzy babulce cisną się do oczu. Taki dzieciuch a od darmożjadów wymyśla.

— A zrobiłeś ty co w życiu, — pyta starym trzęsącym się głosem. — He?

Antek się zawstydził. Myślał, że nie słyszała.

— A wam co do tego? — odburknął gniewnie.

— A mnie nic. Wiem, że to wielka robota fujarki wykręcać i krowiny po rowach ganiać, wielka! A potem do domu wrócić, do matuli, okraszone kartofle zajadać i mlekiem zapijać.

I lzy płyną babulce po zmarszczonej twarzy.

— A wiesz ty, dzieciuchu, co cię w życiu czeka, a wiesz ty, czy kija żebraczego nie ujmiesz w garść i nie pójdziesz w świat? He? Po proszonym chlebie — kończy cicho.

I chwilę nic nie mówi. Zafrasował się Antek, załutchała się Małgosia, oczki modre wlepiła w babulkę i usta z podziwu otworzyła.

— Antek po proszonym chlebie? Co wy babulko, mówicie?

— A niech was... — zawołał Antek. — Ja dziadem? ja pracować będę, a nie żebrać!

— Hola, hola, chłopcze, powoli, powoli. Myślisz może, że ja urodziłam się żebraczką, co? nie miałam ojca, matki, że nie miałam chaty białej, co?

— Oj, miałam ci ja ojca, miałam ci ja matkę i chałupkę małą, ale własną. Dwie grusze oceniały ją, stare grusze, co pradziad je posadził. Oj, słodziutkie, rodziły owoce, słodziutkie!

— Patrzciel! — dziwi się Małgosia, widząc pomarszczoną twarz starowiny.

— Myślisz, że nie?

— A myślę! — odpowiada Małgosia.

A babulka śmieje się długim, smutnym śmiechem

— Oto widzisz, co się robi z urody, oo zostaje z do tatku. Twarz pomarszczona, bezzębna, z dostatku — kostur żebraczy. Ha!

• Potrzęsęła kosturem.

— Ot krasa, ot dostatek. — A potem cię dzieciaki po drogach babą przezywać będą i kłąć: a bodaj cię, darmożjadzie!...

A lzy płyną i płyną.

— Babusiu zagaduje Małgosia.

— Babko, mówi, patrząc jej w oczy Antek.

— Babulu — prosi Małgosia. — Babulu, chodźcie do chaty.

— Na zsiadłe mleko i ziemniaki — dorzucił Antek.

— He, co mówicie? Wstyd babę, darmożjada, karmić, wstyd!

I podnosi się z trudem babulka i utykając idzie w świat po proszonym chlebie...

— Z Bogiem zostańcie, dzieci! — mówi.

A dzieci odpowiedzieć nie śmia, tak im wstyd i taki żal ścisła serce za bezlitośnie rzucone słowa.

Śmierć Jenerała Sowińskiego.

Przy ostatniej bijącej armacie
Lont zapala Sowiński jenerał,
Ramię w ramię śmierć stoi na oczach,
Patrzy chciwie, jak będzie umierał,
A on szczudło w armatnie wbił koło
I zwycięskie do góry wznosił czoło.

„Witaj, śmierci! czekałem na ciebie,
W oczu twoje bez drżenia poglądam,
Gdy się Polska w posadach kolebie,
Takiej właśnie, jak jesteś, pożadam,
I na krzyż ten przysięgam na łonie,
Że tu legnę w Ojczyzny obronie!“

Wali burmem wróg w boju rozjadł:
Grenadjery gwardyjskie, dziw-ohłopy!
Polskie szanice ostatnie upadły!
Ura! ура! zdobyte Okopy!
Ziemia pękła do rdzenia wstrząśniona!
Wyleciała reduta Ordona!

Wzwyż wionęły w kurzawie ich duchy!
Strzępy trupów na miejscu baterji!
Już nie dla nich niewoli łańcuchy,
Ani pustki lodowe Syberji!
Chwilę temu — z pod prawa wyjęci,
Teraz — Polski patroni i święci!

Wrog się wstrzymał w bitewnym rozpedzie,
Ale nowe popełniły go tłuszcze...
„Wnijdą tutaj! — lecz mnie już nie będzie
Żywy — obcej tu nogi nie puszcze!
I krzyk wraży się rozległ na wale:
„Wola wzięta! Złóż broń, jenerale!“

Ten, co wyrzekł — nie powie już słował
Skonał z kulą i z echem wyrazu!
Krew bluznęła w twarz wodza ponsowa,
A wóz twarz miał zimniejszą od glazu.
Wystrzelony pistolet w tłum rzucił
I wzrok na nich, jak płomień, obrócił.

Drżą szeregi! żołdaków strach pęta:
Ten wzrok orla straszliwszy od stali!...
Świszczy kula — i pieśń już rozcięta,
Ciało stygnie — lecz duch się wciąż pali!
Duch się pali, mrok światłem nasycił!
Rozjarzona nad Polską gromnica!

Umarł! oni patrzyli w zdumieniu
I dreszcz dziwny przeleciał przez żyły:
Może wtedy coś drgnęło w sumieniu,
Może skrzydła się duszy zbudziły,
Wstydu łuną w twarz bijąc żołdaka,
Kiedy patrzył na tę śmierć Polaka!

Jenerale! Ty stoisz przed Bogiem.
A twa ziemia — spójrz — jaka znów krwawa!
Uderz szpadą złamaną przed progiem
I zamelduj jej mękę i prawa!
Byłeś szanćców Ojczyzny patronem,
Bądź jej posłem u Boga i dzwonem!

Bij w dzwon szpady! niech ona wymodli
To, co wolnym się ludom należy.
Bo ten naród się nigdy nie spodli,
Nigdy szyn nie ugnie! — gdy wierzy!
Przez śmierć twoją, o stań się, Godzino!
I tych innych, co giną... co giną!...

Artur Oppman (Or-Ot)

Podanie o mysim króliku.

Działo się to niby w tych odległych, dawnych czasach, kiedy ludzie jeszcze ognia nie znali. — Latem, dopóki promienie słońca przygrzewało, wszystkim było dobrze, ale zimą marzli ludzie i dzwonili zębami.

Co tu robić? — Ach, żeby to kogo wysłać do słońca z prośbą, choć o jeden promyczek — mówili do siebie. — Zaraz grzałibyśmy się, zaraz byłoby lepiej.

Ale kto taką drogę odbyć może? Któżby... Chyba ptaki?... Motylki i muszki również skrzydła mają, ale nie doleciałyby tak daleko.

Lecz żaden z ptaków nie chciał słyszeć nawet o tej podróży.

— Co mi tam — odpowiedział każdy. — Jeszcze się spalę. Mnie ogień niepotrzebny. Będę się tam dla drugich narażał!

Aż tu najmniejszy z ptaszek, ani proszony, ani pytany, odzywa się:

— Ja polecę do słońca. Was szkoda. Ten gwizdże, tamten śpiewa pięknie. A ja co? Mój śpiew taki sobie, nieszczęśliwy. I tak mi żal biednych ludzi, tak mi żal! Lepiej niech jeden pocierpi trochę, niż wszyscy.

Więc poleciał.

Leciał długo... długo... aż przybył do słońca. Zaraz też w prośby uderzył:

— Słoneczko najdroższe, zlociste, daj mi choć jeden promyczek! Zaniosę go ludziom, niech ogień sobie rozpalą, niech nie marzną z zimna

Uśmiechnęło się słońce.

— No... no... Ktoby to pomyślał, patrząc na ciebie, żeś taki zuch. Odważnyś, mój maleńki. Dobrze, dobrze, w nagrodę za twoją odwagę masz jeden promyczek. Zanieś go na ziemię tym zmarzłakom, niechże sobie ogień rozniecą. A teraz zmykaj co tchu, bo jeszcze się spalisz. Tu u mnie trochę za gorąco dla ciebie.

Odleciał ptaszek. Niesie w dziobku promień słońca. Pali go boli, lecz on ani zważa.

I wciąż myśli. — Niech tam! Lepiej, żeby jeden przecierpiał, niż wszyscy.

Wrócił ptaszek na ziemię, piórka ma osmolone, na głowie wypaloną plamkę, ale jednak wesół, szczęśliwy.

Oddaje ludziom promień słońca, o swej drodze opowiada.

Dopieroż to zaczęły się sypać podziękowania! A ptaki wołają:

— Kiedyś taki odważny i dobry, to króluj nad nami.

— Króluj. króluj powtarzają wszyscy.

— Już ci słońce nawet koronę włożyło. Na główce masz plamkę zlocistą.

Ale ptaszek nie chciał słuchać o żadnym królowaniu.

— Dajcież mi pokój! Za mały jestem na króla. Nic nie umiem — bronił się.

Wreszcie uciekł i schował się w mysia norkę.

— Już tutaj chyba żaden ptak za mną nie wejdzie.

Żaden nie wszedł, bo nie byłby się zmieścił, ale wszystkie myszki czekały przed norką i skoro tylko ptaszek lebek wychylił, obwołano go już nie królem, tylko królikiem. A ludzie ten tytuł na nazwę „mysi królik“ zmienili.

Porwany wichrem.

Rozgniewawszy się czarownik na młodego parobczaka, wszedł do chaty, kędy mieszkał, i nóż nowy wyostrzony utkwil pod progiem izby; zaklął przy tem, by lat siedem, uniesiony pędem wichru latał po szerokim świecie.

Parobek poszedł na łąkę, by ułożyć siano w kopy, gdy się wichur nagle zrywa: porzrzucił kopy siana i porrywa parobczaka. Daremnie chciał się opierać; próżno chwycił silną ręką, to plotą, to drzew gałęzi; jakaś siła niewiadoma pędzi go pomimo woli. Na skrzydłach wiatru niesiony, nie tykając stopą ziemi leci jakby gołab dziki. Już i słońce na zachodzie, a parobek wyglodniały patrzy na dymiące wiosek chaty; prawie nogą ich się tyka. Lecz daremnie krzyczy, woła, próżno płacze i narzeka; nikt nie słyszy jego jęku, ani też gorzkich nie widzi.

Tak pędzony trzy miesiące, wyglodniały i spragniony, wysechł, jak śnowa szczapa; obleciał wiatru niemało, lecz najczęściej wiatr go nosił ponad wioską, kędy mieszkał. Spojrzy ze łzami na swą chatę, gdzie miał dziewę ulubioną. Patrzy — aż ona wychodzi, niosąc obiad we dwojakach, i wyciągnął ku niej ręce, wychudzone i zsiśniałe. Próżno woła po imieniu, głos mu w słabej piersi ginie; nie spojrzała nawet w górę.

Leci dalej; aż przed chatą stoi złośliwy czarownik, spojrzał w górę, krzyknął głośno: „będziesz latał siedem roków, krążąc zawsze nad tą wioską, będziesz cierpiał, a nie umrzesz“.

— O mój ojczel! mój sokole! jeżeli cię kiedy rozgniewał, przebacz! — Spojrzyj na mnie, patrz już usta mi zdrewniały, spojrzyj na twarz i na ręce, same kości, nie masz ciała, ulituj się mojej mece.

Czarownik poszeptał z cicha, a parobczak już nie leci, stoi w miejscu, lecz stopą nie dotyka wcale ziemi.

— Dobrze to, że mnie przepaszasz, ale co mi dać przyrzekasz, iż cię zwolnię z takiej kary?

— Wszystko co tylko zażadasz!

I złożył ku niemu ręce i ukięknął na powietrzu.

— Oddasz mi swoją dziewczynę, bo ja się z nią zenię muszę, jeśli przeto ją odstąpisz, będziesz chodził na ziemi.

Parobczak zaniemiał chwilę, „Aby jeno na ziemię — pomyślał — to damy sobie rady“. I rzekł głośno: „Zaprawdę wielkiej żądacie ode mnie ofiary, lecz kiedy inaczej być nie może, niechże i tak będzie“.

Wtedy nań dmuchnął czarownik i stanął na ziemi, jakże był szczęśliwy, gdy uczuł, że po niej stąpa, że wiatr już nad nim żadnej mocy nie ma. Biegł co żywo do chaty, i w progę spotyka sobie zaręczoną dziewę.

Krzyknieła z podziwu, widząc zaginionego parobka, co miał być jej mężem, co go już długo oplakiwała. Lecz ten odepchnął ją silnie wyschłemi rękoma, wszedł do świetlicy, a ujrawszy gospodarza, u którego służył, na pół z płaczem zawołał:

— Już u was służyć nie będę, ani waszej nie pomnę córki, kocham ją jeszcze szczerze, by własne oczy, ale moja nie będzie.

Sędziwy gospodarz spojrział nań zdziwiony, a dostrzegłszy cierpienia w wychudłej i bladej twarzy, tak niegdyś rumianej, zapytał o powód, dla czego odrzuca rękę jego córki?

Parobek wyznał mu wszystko i swoją podróż powietrzną i przyrzeczenie dane czarownikowi. Wystuchawszy cierpliwie gospodarz opowiadania całego, kazał biednemu być dobrej myśli, a sam poszedł do wróżki na poradę, wzięwszy trzos pełny. Nad wieczorem wrócił wesół i rzekł do chłopaka — jutro pójdzie do wróżki, jeno rano, jak zaświta, a wszystko pójdzie dobrze.

Parobek strudzony zasnął twardo, zbudził się przecież przed świtaniem i poszedł do wróżki. Zastał ją przy kominie, jak palła ziola, kazała mu stać spokojnie, dzień był pogodny, gdy nagle wiatr zawiął — zatrząsł się dom cały. Wróżka wtedy z nim wyszła na podwórze i kazała spojrzeć w górę. Podnosi oczy i widzi z podziwem, jak zły czarownik w jednej koszuli w powietrzu kręci się w kółko.

— Otóż twój nieprzyjaciel już ci szkodzić nie będzie, gdy zechcesz by patrzył na twoje wesele, zrób, jak cię nauczyłam, a będzie tych cierpień doznawał, które dla ciebie niewinnego przygotował.

Uradowany parobek pobiegł do domu, w miesiąc już się ożenił. Gdy druźbowie tańcowali wyszedł z izby na podwórze, spojrział w górę, aż nad chatą się kręcił on zły czarownik. Wówczas dobył nowego noża, wymierzył weń rzucił silnie i trafił w nogę.

I zleciał z powietrza czarownik przyby ty nożem do ziemi. Stał przez noc całą przed oknem, musiał patrzeć na radość parobka i weselnej drużyny.

Nazajutrz znął z przed chaty, lecz ludzie widzieli, jak przelatywał nad jeziorem o dwie mile, a przed nim i za nim stado wron i kawek krakaniem swoim zwiastowały nieskończony lot złego czarownika.

nadesł. **Węgierka.**

W piekle.

Cisza. Belzebub, siedząc na tronie, lekko chrapie. Pukanie do drzwi. Belzebub budzi się i zapytuje:

— Kto?

— To ja. Gość ze świata.

— Co za ja? Niech wejdzie.

Wchodzi niedawno zmarła osoba.

— Z kim inam przyjeźność? — mówi Belzebub.

— Lenin z Moskwy.

— Ach, to kochany pan! Jak to dobrze! Nareszcie! A czekaliśmy go z takim utęsknieniem. (Klaszcze w dłonie). Hej, jest tam który? Ale z widłami!

— Zwolna, mileńki — odzywa się na to Lenin. — Potichońku. Na widy zawsze czas. Zanim jednak powtórzysz swój rozkaz, Belzebubie, powiedz mi, czego się wymaga w piekle od zdolnego djabła?

— Wymaga się, aby trapił okrutnie ludzkość, siał rzezie, zabójstwa, katował ludzi i to nie detalicznie lecz hurtem, złapał krew, męczył, dręczył, gubił niewinnych.

— Aha! Ślicznie! A jeżeli ów djabeł będzie te czynności wykonywał w dobie o pięć, dziesięć razy większej, aniżeli się od niego normalnie wymaga, to czem się stanie wtedy?

— Czem się stanie? Będzie wtedy tem, czem ja jestem, Belzebubem.

— A gdyby znalazł się ktoś, któryby dwa razy tyle zbrodni popełnił, aniżeli ty, Belzebubie, to co będzie wówczas?

— Wówczas ja zejść z tronu i powiem do takiego działacza piekielnego: siadaj na mojem miejscu.

— W takim razie, Belzebubku drogi, złaż ze stoła, a na nim usiądę ja, Lenin. Jeżeli nie wierzysz, poślij do Rosji po statystykę morderstw, zabójstw, straceń i innych moich prac za czas od roku 1917 do 1924. No dalej złaż!

I Belzebub, pokłoniwszy się nisko Leninowi, zszedł pokornie z tronu, a na wysoki ten posterunek wdrapał się zmarły dyktator Bolszewiji. Wdrapał się, rozpaczył i rozpoczął swych rządów piekielnych wydanie drugie.

Rozmaitości

Skąd on to wiedział.

Pewna bogata Amerykanka, która wysiadła na ład w Nowym Jorku odpowiedziała na zwykłe pytanie urzędnika: Czy niema pani czego do ocenia.

— „Nie, wszystko co mam na sobie to garderoba poprzednio zakupiona w Ameryce.“

Na to urzędnik odrzekł:

— Pani widocznie się myli. To futro jest austriackim fabrykatem.

Dama śmiejąc się dumnie, wskazała na wszytą markę fabryczną amerykańskiej firmy.

To mi nie imponuje, odparł urzędnik, ponieważ wiem, iż pani kupiła to futro 23 marca przed południem o godzinie 11 w firmie „Müller et Co“ w Wiedniu. Zapłaciła pani zaś 530 dolarów.

Dama jest przerażona, a urzędnik ciągnie z zimną krwią dalej:

— W dalszym ciągu pani kupiła u jubilera w Paryżu 20 marca naszyjnik pereł, a w hotelu w Londynie pierścień z brylantem.

Rozbrojona i steroryzowana składa dama te przedmioty i płaci za nie wysokie cło.

Niejednego może dziwić skąd ten urzędnik posiada takie niezwykle wiadomości. Oto tajemnicą policyjną jest, że amerykańska policja posiada we wszystkich wielkich stolicach europejskich szpiegów, którzy śledzą bogatych amerykańków i starają się wybadać, jakie ci milionerzy robią zakupy. Sprawozdania są regularnie posyłane do departamentu finansów i w chwili, gdy Amerykanin przyjeżdża z łupem — władze celne przedstawiają mu rachunek do wyrównania.

Dla śmiechu.

Na ulicy.

Przechodzień spogląda na rozdarty łokieć surduta profesora i rzecze:

- Tędy wygląda mądrość.
- A zagląda głupota — kończy spokojnie uczony.

— Patrz, widzisz; za trumną tego biedaka Ludka idzie jego doktor domowy.

— To nadzwyczajne! Pierwszy raz na świecie widzę, żeby przyczyna szła za skutkiem.

Biegun winien.

— Ale to szczególne! Dopiero połowa września, a zimno jak w lutym. Nie rozumiem dlaczego.

— To pewnie przez te wyprawy naukowe. Odkryli. Bóg wie po co, biegun północny i południowy i stamtąd taki mróz wieje. Dopóki były zakryte, lato było jak należy.

Zaczęła od drugiej.

Marynia robi na drutach pończochy; podchodzi matka i pyta:

— Dużo zrobiłaś od wczoraj?

Marynia odpowiada:

— O, mamusi, ja już drugą pończochę kończę.

— Doprawdy! — rzecze matka, — pokaż-że pierwszą.

— Kiedy ja od drugiej zaczęłam — odpowiada Marynia.

Logogryty i zagadki.

Rozw. logogr. Białej myszki dla Rokietki.

Róża
Odra
Koń
I
Elżbieta
Tecfil
Komar.
Armata

R o k i e t k a

Rozw. zag. Judyty dla Trawki: Dym.

Rozw. zag. Judyty dla Bryl. rosy: Śnieg.

Rozw. logogr. Bł. Niezapominajki dla Firletki, Biał. Brzoźki i Jutrzenki.

- | | |
|---------------|------------|
| 1. Kujawianka | 9. Dach |
| 2. Rosja | 10. Erwin |
| 3. Ogień | 11. Sójka |
| 4. Papuga | 12. Zenit |
| 5. Europa | 13. Ciepło |
| 6. Lipa | 14. Zima |
| 7. Krowa | 15. Urna |
| 8. Anioł | |

Kropelka deszczu

Rozw. zag. Perłowej muszelki dla Br. rosy: Ogień.

Rozw. zag. Białorusinki dla Wiselki:

1. Łózko, 2. Drzwi, 3. Okno.

Rozw. zag. Białorusinki dla Psotn. djablika: Rżysko

Rozw. logogr. Sarenki dla Błękitnej astry.

- | | |
|--------------|-----------|
| 1. Katarzyna | 4. Kura |
| 2. Rana | 5. Ow |
| 3. Antoni | 6. Wiosna |

K r a k ó w

Rozw. logogr. Śliweczki dla Rusałki.

1. Jadwiga
2. Alpy
3. Dniepr
4. Władysław
5. Igiła
6. Gertruda
7. Adam

J a d w i g a

Rozw. logogr. Gwiazdz. nocy dla Brylant. Rosy.

W	a	n	n	a
S	a	r	n	a
K	i	n	g	a
S	r	o	d	a
W	i	s	ł	a

W
n
d
a

Logogryf Gwiazdzistej nocy dla Perlistej Izy:

1. Imię męskie zdrobn.
2. Najstarszy członek rodziny.
3. Zwierzę podbiegunowe
4. Owoc
5. Imię żeńskie
6. Główna rzeka Litwy
7. Ryba
8. Mieszkania pszczół
9. Część ciała u zwierząt
10. Pora roku

Sylaby: dsś, dzia, ko, A, to, na, o, An. jabł. ren, la, men, się, gon, o, dek, koń, nie, pa, ki.

Litery początkowe czytane z góry na dół utworzą nazwę miasta w Turcji.

Zag. Szl. Unkasa dla Królowej gór.

Boga mam tylko nad sobą
Beze mnie wszystko okryte żalobą,
Gdy się uśmiechnę, świat cały się śmieje,
Gdy się zachmurzę i niebo lży leje.

Logogr. Złotej nici dla Białej gołąbki.

Imię męskie
Część świata
Miasto w Polsce
Samogłoska
Kwiat
Góry w Europie

Sylaby: al, e, czyz, bliu, ro, ryh, pa, lu, nar, py, hen, lu, cu.

Litery początkowe czytane z góry na dół utworzą imię żeńskie.

Zagadka Olszynki dla Mysiego Królika.

Co to za pani
Żółta na niej sukienka
Bywa duża i maleńka
Gładka okrągłutka
Niby chciałaby skakać
A pobawisz się nią trochę
To musisz zapłakać.

Krzyż magiczny dla Białej myszki i Igiełki.

- | |
|---|
| 1. Spółgłoska |
| 2. Rodzaj kleju |
| 3. Inaczej pokarm |
| 4. Miasto w Azji |
| 5. Kwiat |
| 6. Imię i nazwisko kuznodziei pańskiego |
| 7. Imię i nazwisko bohatera z czasów rozb. Polski |
| 8. Imię żeńskie (zdrobniałe) |
| 9. Miasto nad morzem Czarnym |
| 10. Imię męskie |
| 11. Pora roku (zdrobniałe) |
| 12. Mieszkanie pierwszych ludzi |
| 13. Spółgłoska |

Logogryf dla Kanarka.

1. Szczyt w Afryce.
2. Owoc południowy.
3. Imię męskie.
4. Kraj.
5. Rzeka w Ameryce.
6. Góry w Azji.
7. Inaczej samolub.
8. Miasto w Europie.
9. Inaczej południe.
10. Góra zięjąca ogniem.
11. Imię żeńskie.
12. Odgłos.
13. Półwysep w Ameryce.
14. Wyspa.
15. Przyrząd do szycia.

Sylaby: Nit, la, in, i, ba, wul, gm, pi, dor, go, chiń, nas, ry, ze, skie, e, zy, unt, nia, cho, na, ga, is, bra, ig, ku, la, ke, a, na, mi, do, ta, ssi, re, kan, in, si, dje.

Litery czytane z góry na dół, dadzą imię i przydomek króla polskiego.

Odpowiedzi od Redakcji.

Wężowi Prerji. Bardzo umiejętnie zmieniłeś charakter pisma. Cóż to Ci się stało w tę biedną rękę? Czy z Twoimi gośćmi poznałeś się w Grudziądzu?

Perliczko. Bardzo smacznego ptaka wybrałaś sobie na pseudonim. Może go lubisz zajadać? Zimą obszerniej pewnie do mnie napiszesz?

Królownie Hożej. Winszuję Ci tego prezentu od Boga, którym jest Twą siostrzyczką. Dziwię się, że lasy Ci się nie podobają, wolę tam przebywać aniżeli w mieście.

Nocnej Rosie. A czemu mi nie powierzysz, w której okolicy spędziłaś wakacje?

Wiselco. Jestem ciekawa tego zapowiadzanego opowiadania, ale proszę je b. starannie opracować. Podoba mi się to, że i w tygodniu uczęszczasz do kościoła.

Serduszkę. Znam to miasto skąd wracasz, podoba mi się ono, a mianowicie jego przedmieście, gdzie tyle drzew i zieleni.

Wasza Biedronka.